



NIEPOKÓJ

Kiedy się to właściwie stało? Nie mogę zrozumieć. Widzę go takim, jak niedawno, gdy niespodziewanie wpadliśmy na siebie na jednej z ulic. Zamieniliśmy kilka ledwie słów. Zauważyłem, że był dziwnie niespokojny, przewiercał mnie oczyma. Zrozumiałem, że chce z kimś pogadać, komuś się zwierzyć, a tym kimś miałem być ja. Ale rozmowa dziwnie się nie kleiła, toteż wymieniwszy uścisk dłoni, rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. I to był ten ostatni raz. Dlaczego nie mogę się znów z nim zobaczyć, naprawić, wytłumaczyć wszystkiego, zapomnieć i mieć wreszcie spokój?

Nigdy nie mogłem go nazwać swym przyjacielem. Po prostu kolega. Zawsze jednak wzbudzał moje zainteresowanie. Był inny niż my wszyscy. Usuwał się ciągle w cień, mimo swego okazałego wzrostu, był niezauważalny, milczący, zamknięty w sobie, nieśmiały. Uśmiechał się jakoś niewyraźnie, przy czym twarz jego przybierała wielce wymuszony wyraz. Gdy mówiło się z nim, był dziwnie sztuczny, urzędowy, mówił szybko, zdawkowo, a w jego głosie można było wyczuć drżenie. Gdy się go słuchało, a mówił często z jakimś akcentem krytycyzmu i poczuciem winy o swych słabościach, rozterkach – sprawach jakże dla każdego ważnych, a zarazem nieciekawych i obcych dla innych, kiwało się ze zrozumieniem głową, choć nasze myśli ulatywały daleko.

Traktowało się go z pewnym dystansem, przymrużeniem oka (właściwie dlaczego nie mogę się zdobyć i powiedzieć wprost: mówiłem, słuchałem, traktowałem...). Był rzeczywiście trochę nudny i zwyczajny, a przy tym inny niż my (może lepszy?) i był dobrym chłopakiem. Stale zagoniony, dociekliwy, wytrwały. Inni łatwo się zniechęcali, porzucali podjęte zamiary, rezygnowali z marzeń, on brnął dalej, niepewny rozwiązania.

Swych rówieśników traktował trochę z góry i może dlatego unikał ich towarzystwa. Zdawało mu się, że wie, do czego dąży, że wszystko, co robi, ma swoje znaczenie i jest dla niego zrozumiałe. Ale rodziło się w nim wiele tęsknot, wątpliwości, gubił się w poszukiwaniach, czarno wyobrażał sobie swoją przyszłość, nie bardzo wierzył w swoje umiejętności, zwłaszcza, że widział zdolniejszych od siebie. Gniewało go, że właśnie tak jest. Próbował walczyć z tym, ale nie mógł znaleźć drogi, która by go wyprowadziła z ciemnego labiryntu.

I w końcu coś się w nim załamało. (Ech, ta jego wrażliwość...) Otaczający go młodzi ludzie powoli zaczęli rozumieć, że są tacy, a nie inni i nie potrafią tego zmienić, że istnieje – niekoniecznie wysoko postawiony – pułap ich możliwości i jakoś nie rwali z tego powodu włosów z głowy. Tymczasem on nie mógł się z tym pogodzić i w końcu zaprzeczył życiu sensu. Wyobrażał sobie je jako pozbawione przyszłości, nieciekawe. Chciał, by jego życie było wielkim poznaniem, przygodą, odkrywaniem. Wierzył w ideały. Tymczasem, przygnębiony, roił, że będzie małym, pospolitym, zahukanym człowieczkiem (co też sobie ubzdurał?), co jak chuda, nie wiedząca dokąd idzie szkapa, wlecze jak więzienną kulę swój wóz-los, z którego wyprząc się nie potrafi, by w końcu stanąć na krawędzi i zapaść pod ziemię.

Staralem się go zrozumieć, ale jakoś nigdy nie potrafiłem się zbliżyć do niego, przebić skorupy, w której się zamykał (żebym choć raz mógł jeszcze spróbować...). Teraz wyczytałem gdzieś, że go nie ma. (Po cóż to zrobił?) Nie potrafił i nie chciał utrzymać się na powierzchni.

A może umiałbym mu pomóc, podnieść na duchu, rozwiać niejasności, ale wtedy akurat musiałem... Nie, nie muszę się okłamywać – po prostu uciekłem od niego, chciałem się od niego uwolnić i zostać sam. Dlaczego?!

(jn)

„Tygodnik Żakowski” nr 240, 19 kwietnia 1973